

WIECZORY RODZINNE

TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI.



NOWY-ROK.

Oto jestem — rok nowy, młodziutki —

W koszu zjeżdżam, kwiatów pęk przynoszę,
Nie znam co są zgryzoty i smutki,
Same chciałbym dać tylko rozkosze.

Do rozdania ja skarby mam duże:

Skromnych zalet fiołki, lilje cnoty,
I szlachetnych uczuć piękne róże...

Z tych się złoży szczęścia wieniec złoty

Co klejnotem jest i skarbem ducha!

Bo szczęśliwym ten, kto Bogu miły,
Kto poświęca się, kocha i słucha
W szczerych modłach czerpiąc na to siły.

Kto potrzebnym chętnie pomoc świadczy,

Kogo prośbą wzruszają biedacy,

Kto na nudy ma środek zaradczy

W użytecznej i rozumnej pracy,

Ten szczęśliwy! Takiego wam życzę

Dzisiaj szczęścia, nowy rok młodziutki!

T. P.

POD WPŁYWEM BŁOGOSŁAWIENSTAWA.

I.

„Środkiem Węgier, po lewej stronie wielkiej rzeki Dunaju, ciągnie się rozległa płaszczyna, zwana *Pusztą* albo Niższemi Węgrami. Wysoka trawa pokrywa na wiosnę tę niezmierną przestrzeń, na której nie dopatrzyć ani najmniejszego pagórka, ani drzewa; gdzie sięgnąć okiem step szeroki jak morze, styka się z niebem na krańcach widnokręgu. Nie ma tu nawet wyraźnego śladu drogi, a raczej jest droga na pół mili szeroka, wyciśnięta kołami pośród trawy; gdyż, dla miękkiego gruntu, każdy podróżny toruje sobie nową koleję. Latem panują tu wielkie skwary; trawa nieskoszona więdnie i usycha, a spalona ziemia rozpada się na głębokie szpary, które zgruntować trudno.

Na tych stepach pasą się niezliczone stada bydła i koni pod strażą *gulyasów* wolarzy, i *czykosów* koni pasterzy. Miejscami znów, step zamienia się w błotniste trzęsawisko, poprzercinane jeziorami, w których leżą się chmury dzikich kaczek i wodnego ptactwa.

Stepy, puszcza, są dotąd siedzibą prawdziwych potomków tej drużyny, która przybyła tu niegdyś z Arpadem; od dziesięciu wieków nie widzimy w niej odmiany. Tacy oni są dzicy jakimi byli ich ojcowie, z sumiastym wąsem i długimi w palonych butów ostrogami. Madziar pozostał żołnierzem na ziemi, którą zdobył. Konie jego pasą się w pobliżu kiedy spoczywa po dzienniej pracy, jak niegdyś spoczywał po bitwie. Kształt wsi wskazuje pierwotnego ducha mieszkańców. Czuć tam lud koczowniczy. Jest tam długa i szeroka ulica, po której bokach wznoszą się domy, przedzielone równą przestrzenią, niby podwójny szereg namiotów co znikną na najbliższe hasło, a jutro zjawia się gdzieindziej. W posrodku wsi jest kościół, tam właśnie gdzie w pierwszych czasach wznosił się namiot wodza. Niekiedy, podwójny rząd akacyj zieleni się na tej szerokiej drodze, na której sto koni może pomieścić się w jednym szeregu. Te wsie dzisiejsze, były niegdyś stanowiskami wojennymi, najeźdźczego wojska. Dla tego to przedzielone są znaczną przestrzenią i nieraz

obejmują liczną ludność. Oprócz tego że napady tureckie nie dozwalały mieszkańcom rozpraszać się po kraju, zdaje się że lud wierny tradycji, nie chce opuszczać pierwotnych siedzib pradziadowskich, ani zmieniać ich kształtu. Nawet Debreczyn, główne miasto madziarskie, które liczy do 80,000 mieszkańców, składa się po większej części z małych domków, zbudowanych jakby namioty i pobielonych w około”.

Wśród takich to miast, wsi i puszt, rozrzucona gęsto pomiędzy niemi, istnieją jeszcze innego rodzaju punkta zbiorne, bez których Madziar nie umiałby się obejść, i których nie zastąpićby mu nie mogło, są to tak zwane czardy, gospody. Jeżeli bogata szlachta węgierska, przy całej odrębności swych cech właściwych, żyje jednak mniej więcej życiem zbliżonem do życia ogółu ludzi bogatych w Europie, jeżeli lud w ogóle ma w najbliższych odnośnie głównych miastach komitatowych swoje jarmarki, które łączą go z resztą świata, zastępując poniekąd książkę, szkołę i czasopisma, to mieszkańcy puszt odleglejszych nie mają nic z tego wszystkiego, prócz najbliższej *czardy* zastępującej wszystko.

W jednej z takich to właśnie *czard* stepowych, panował pewnej soboty roku 1832, o gorącym letnim poranku okrutny acz zwykły tygodniowy gwar i zamęt.

Czarda rzucona w stepie niby szpilka w stóg siana, otoczona wieńcem topoli, była obszerna, wygodna i czysta, jak wszystkie zresztą prawie chaty madziarów, którzy lubują się w czystości. Była to też w istocie chata tylko, przyjmująca zapłatę sumienną od przejeżdżnych, dla tego jedynie, że inaczej żadnym sposobem nie mogłaby gościnności koniecznej zadość uczynić. Cały tydzień pracowano tu gorliwie choć nie na zabój; gospodarz zwany Petőfi rzeźnik z rzemiosła przyrządzał mięsiwa, żona jego, jak zwykle żemęzne madziarki z ludu, trudniła się drobnym handlem, sprzedając proso, chleb przez się wypiekany i warzywa z domowego ogródka, lub co najcenniejszej dowożone z różnych stron. Czeladka, dziewczęta i parobcy spełniali ohocho rozkazy gospodarzów, a pomiędzy niemi uwijał się bezustannie mały chłopaczek Oleś (Szandor) około dziewięcioletni. Gości w tygodniu bywało bardzo mało, bo któż tam tak znów często przez step przejeżdża. W sobotę i w przeddzień każdego święta, pospolitym zwyczajem węgierskich wieśniaków, od wczesnego rana myto i szorowano wszystko, podłogi, okna, stoły, ławy, a nawet pobielano chatę. Tego ostatniego zadania dopełniał sam gospodarz, bo mu chodziło wielce o piękny wygląd domostwa zewnątrz, tak samo jak chodziło żonie jego o toż samo wewnątrz domu. Średniego wzrostu Madziar ten, mógł przedstawiać jeden z najdородniejszych typów europejskich, zarówno pięknoscia rysów jak udatną postawą. Miał na sobie koszulę o szerokich rękawach z doskonałego płótna, bo bawełna uważa się tu za nędzę, i takżej spodnie spuszczone szeroko na buty, a mocno w pasie obciśnięte. Pomimo że jeszcze wcale nie stary, przecież dla powagi zapewne miał włosy długie i jak u starców zaplecione z obu stron w warkocze, spuszczone na ramiona. Za rzemienny pas ściskający mu biodra miał założoną dużą chustkę czerwoną, i w tem starożytnem przybraui, machał pendzlem zamasyżycie i z niezmiernem zajęciem, mimo to nie wypuszczając z ust fajki ani na chwilę. Nareszcie skończył robotę, i wypalił fajkę jednocześnie.

— Uf!... — odetchnął z zadowoleniem, przyglądając się białemu jak śnieg domostwu, wytrząsnął fajkę, nałożył znówu, zapalił, i puszczał kłęb dymu potężny, potoczył okiem po okolicy okružającej jego „dziedzinę”... step, step zielony naokół jak zajrzeć i nic więcej... nic prócz błękitnego nieba i złotego słońca, spijającego z traw stepowych resztki błyszczącej rosy porannej. Gospodarz wsparł się w boki:

— Ha! Janos! zaprzęgać do małego wozu, na *Bakony* jedziemy! — zakrzyknął. — Iluzka! hej! czy Janos nie potrzebny tobie do roboty koło domu? — i poprawiał kapciuch szyty w jaskrawe wzory u pasa, przygotowując się do drogi. Na pierwsze wołanie odpowiedział tylko kędyś poza czardą lekki na miękkim gruncie odgłos kół. — Wraczajcież do ziemi

gu wozu; na drugie Iluzka wybiegła żwawo z głębi domostwa z wielką skuturą, flaszą drewnianą, pełną wina w rękę, bez której wieśniak węgierski równie jak bez fajki nie rusza się w drogę, i kładąc mu ją do kieszeni, podawała jednocześnie szeroki kożuch.

— Janos może jechać panie, już my resztę zaraz dokonczymy — mówiła przytem. Kobieta młoda jeszcze, pełnych kształtów — z dwoma grubemi warkoczami splecionemi od skroni, złączonemi z tyłu i wyglądającymi z pod dużej jak welon białej chustki właściwej miejscowym mężatkom; mimo tygodniowego porządkowania była ubrana z pewnym wdziękiem właściwym węgierskiemu odzieniu. Ciemna krótka a niezmiernie faldzista spódnica, przy lekkiej jaskrawej chusteczce, skrzyżowanej na piersiach i związanej na białej z szerokimi a krótkimi rękawami koszuli, przy bucikach na wysokich obcasach i przy niedużym fartuchu, musi zawsze zgrabnie wyglądać, jeżeli ta która ją nosi jest zgrabną, a taką jest każda Węgierka. Że na całym tem odzieniu znać było trochę śladów gwałtownej sobotniej roboty, to mu wcale nie ujmowało wdzięku. Za matką wybiegł z domu ośmioletni chłopaczek w płóciennem jak ojciec odzieniu, tylko włosy mocno wysmarowane sadłem krótko były przycięte, ostrogi pobrzękiwały u wysokich butów, noszonych nawet przez takich malców w pusztach, mnóstwo guzików świeciło mu u pasa, pod szyją i gdzie się tylko dały umieścić, a mały kapelusz z szerokim brzegiem, błyszczał pękiem świecideł, wstążek i sztucznych kwiatów. Chłopak niósł w rękę oprócz własnego bicia, jeszcze i ojcowy toporek czyli *czekan* osadzony na kiju i podawał go ojcu, jak laskę, przy wyjściu z domu. Gospodarz zarzucił na się obszerny kożuch futrem na wierzch, jak zwykle w ciepłą porę, wziął toporek, a poważne rysy rozjaśnił mimowolnym uśmiechem spojrzawszy na chłopca:

— A to co!... Szandor! chłopce, ty masz kwiaty i wstążki u kapelusza jak dorosły parobczak, to ty może i dziewczębka niedługo w swaty zechcesz posyłać?... — zawołał z udanem zdziwieniem. Mały pieśczocho zdjął z głowy kapelusz, popatrzył nań błyszczącemi radością oczyma, a potem go napowrót uważnie kładąc na głowę i poprawiając aby był z fantazją, ujął się drugą ręką w bok i rzekł z wielką powagą patrząc ojcu w oczy:

— Tak, matka pięknie przystroiła na jutro, ale dziewczębka?... a... jeszcze nie w tym roku teraz... — matka dusiła się tłumiąc śmiech, ojciec pokręcał ogromnego sadłem w drut wysmarowanego wasa:

— Czemuż nie w tym bieżącym roku? — zapytał seryo.

— A no jakże? — odparł Szandor wdychając — przecież nie mam jeszcze szamerowanego płaszcza z pętlcami... którażby mię dziewczyna chciała bez płaszcza?... I kiedy to jeszcze będzie... bo przecież na kosztowny płaszcza sam sobie muszę zarobić, a dotąd nie robić nie umiem... — ostatnie wraził malec wymówił ze szczerem i ciężkiem zmartwieniem i drapał się przytem po chłopsku za ucho, straciwszy zupełnie pierwotną butną minę, na myśl o kłopotliwej żeniączce. Zanosząc się od śmiechu, matka pochwyciła w ramiona dzieciaka okrywając go pieśczołami. Najśmieszniejszem było to, że malec wychowany wśród starszych, widząc co niedziela tańce i stroje młodzieży w rodzicielskiej czardzie, i słysząc ich rozmowy, mówił prawdę bardzo rozsądnie, a ta, dla tego właśnie że prawdą była, wydawała się komiczną w jego ustach. Tak, istotnie, parobczak każdy na Węgrzech musi sobie najprzód zapracować dużo pieniędzy i sprawić kosztowny ogromny płaszcza, bogato szamerowany sznurkami, tak samo jak dziewczyna musi mieć *rekli* coś w rodzaju bogatego dużego kaftana i porządną pościel; bez tego nie można ani myśleć o żeniączce. Nawet żaden poważny dziewosłab nie podjąłby się dziewczębować parobczakowi nie posiadającemu owego płaszcza. Ależ taki parobczak musi mieć przynajmniej dziesięć lat więcej, niż miał dzieciak Petőfich, bo inaczej ślubu nie dostanie. Mały Szandor serdecznie przyjmując i odwzajemniając jej pieśczoły, patrzył przytem uważnie na matkę tak, że brwi marszczył z napięcia umysłu, usiłując zrozumieć przyczynę jej śmiechu dziwił się i niepokoił,

więc na ojca spojrzawszy pytającymi oczyma. Gospodarz, rozśmieszony w duszy tak samo jak gospodyni, kręcił przecież wciąż olbrzymiego wasa, a rzekł w końcu:

— To szczerą prawdą, Szandor, że nic jeszcze nie umiesz, i przeto trudno ci na płaszcza zarobić, a no, jeżeli chcesz, to jedź oto teraz z nami do lasu, będziesz pomagać Janosowi, obznajmisz się z robotą. — Dzieciak aż w górę na te słowa podskoczył, w nagłym przystępie radości, ale prawie jednocześnie spojrzawszy na matkę pytając:

— Jechać, matko? — a oczy błyszczały mu szaloną ochotą. Trzeba wiedzieć że chociaż w Węgrzech żona wieśniaka nazywa mężem „panem”, a on ją po imieniu, co jest podobno ostatnim zabytkiem tradycyi azjatyckich, to przecież w rzeczywistości kobieta w domu rządzi głównie. Dla tego to mały Szandor bez namysłu do matki się zwracał po sankcję ojcowskiej propozycji. A przecież jechać z ojcem było chłopca marzeniem, który dotąd jeżeli jeździł, to tylko z matką. Nie zdawał on sobie z tego sprawy, ale czuł jakoś że dzieci jeżdżą z matkami a z ojcem dorośli chłopcy, ludzie skończeni, mężczyźni z wasami... A rozpieszczonemu jednakiemu który tylko dorosłych chłopców w stepowej gospodzie rodzicielskiej widywał, tak chciało się być dorosłym, tańczyć jak oni, toporkami igrać jak oni... Więc ucieszony szaleniem ojca zamiarem, pytał teraz z przymileniem i najwyższem niepokojem:

— Jechać, matko?...

Kobieta przestała się śmiać odrazu, zachmurzyła się, spoglądając z wyrzutem na męża, a dziecko wypuszczając z objęć:

— Do lasu Bakony? między „Kanaszów”?... z dzieckiem jechać? Cóż znowu!... — rzekła. Szandor poczerwieniał, lży mu stanęły w oczach, postąpił ku ojcu patrząc mu w oczy błagalnie. Ten, łatwo zrozumiał milczącą prośbę jedynaka.

— Ej, albo to Kanasz gorsi od innych ludzi, dla tego że świnki a nie konie ani owce wychowują? Czy zjedzą dziecko? Czy nie bywają tu u nas co niedziela?

— Nie, nie gorsi... ale co innego tu u nas, a co innego tam w lesie, może się dziecku co Boże broń przytrafić... a potem, nuż tam będzie jaki *szegeny legeny* (biedny chłopiec).

(d. c. n.)

KWIATEK OBROŃCA.

Pomiędzy kwiatami które Bóg hojną ręką po ziemi rozsypał, są rozmaite: jedne radują oczy człowieka pieknymi barwami, inne dostarczają farb, inne jeszcze — a takich jest bardzo wiele — mają własności uzdrawiające, a są i takie co kryją w sobie truciznę. Ale nie trzeba tych kwiatów potępiać, bo i trucizna w potrzebie użyta, przynosi człowiekowi pożytek.

Są owady lubiące w wielkiej ilości gnieździć się w mieszkaniach ludzkich, zwłaszcza wilgotnych i w świeżo zbudowanych domach, których mury nie wyschły jeszcze dostatecznie. Gdy trafią na warunki przyjazne, mnożą się tak bardzo, że stają się prawdziwą plagą mieszkańców. Obrona przed niemi była długo bardzo uciążliwą, aż kwiatki przysły ludziom z pomocą, udzieliwszy trochę trucizny.

Zabijać owady dla tego tylko żeby je życia pozbawić, grzechem jest ciężkim — ale zabijać we własnej obronie, nie jest grzechem, jest nawet czynem pożytecznym, bo gdybyśmy ich nie niszczyli, one takby się rozmnożyły, że zniszczyłyby nas zupełnie. Jednym z najskuteczniejszych sposobów wytepienia tych nieproszonych gości, jest posypywanie podłóg, ścian i sprzętów, proszkiem perskim. Gdzie czystość starannie jest utrzymywana, tam proszek perski bywa zbędny — ale owady owe często niespodzianie na ludzi napadają, dobrze więc jest zawsze mieć go pod ręką. Niema prawie nikogo ktoby go nie znał i nie używał, ale mało kto wie z czego się ten dobroczynny proszek wyrabia.

NOWY ROK U „CZARNYCH”.

(URYWEK Z PODRÓŻY PO AMERYCE).

Kwiaty dostarczające go, podobne są bardzo do naszych rumianków łąkowych, ale gdy te bywają zawsze białe, *rumianek perski*, *Pyrethrum roseum* i *Pyrethrum carneum* z którego kwiatogłówek zawierających aromatyczny olejek, wyrabia się proszek, bywa żółtawy, bladoróżowy i czerwony. Żyje w licznych odmianach, w Persyi, w górach kaukaskich, na wysokości 1,000 do 2,500 stóp nad poziomem morza, na pokładach wapienno-marglowych. Znalezione też gatunek tej rośliny na bazalcie alpejskim na wysokości 8,000 stóp i na trachytach, na wysokości 7,000 stóp. Ludność kaukaska znała oddawna proszek perski, nazywając go po swojemu *Gutrita*, i używała odpowiednio — ale w Europie znanym jest dopiero od lat pięćdziesięciu kilku, dzięki botanikowi niemieckiemu Kochowi, który odbył kilka podróży na Kaukaz i tam się z nim zapoznał. W r. 1840 jako profesor botaniki w Berlinie, głosił sławę proszku perskiego z takim zapałem, że wkrótce wszyscy zaczęli go sprowadzać i używać — a gdziekolwiek się pojawił, tam owady trapiące dotąd ludność bezkarnie, padały milionami. Miłośnicy ścisłości historycznej jednak utrzymują, że to nie niemiec Koch, ale kupiec armeński Juntikow, pierwszy zwrócił uwagę na ten wyrób kaukaski, nauczył się sposobu wyrabiania od mieszkańców i jeszcze na dwadzieścia lat przed podróży Kocha, usiłował go do handlu wprowadzić. Dla nas jest wszystko jedno któremu z tych panów należy się zaszczyt pierwszeństwa: wdzięczni im jesteśmy że z ich przyczyny zyskaliśmy pożyteczny nabytek.

Wielki odbyt proszku wywołał szerszą uprawę rumianku perskiego, ale hodowany w niższej położonych miejscowościach, utracił pewną część swych własności, bo jest rośliną górką i w dolinach łatwo się wyradza. W Dalmacyi i Czarnogórze rośnie inny gatunek *Pyrethrum*, z którego wyrabia się proszek *dalmacki*, równie skutecznie wyniszczający owady. Jaką ilość kwiatów oba te kraje dostarczają Europie, wniesć można z tego, że od Czerwca r. 1881 do Marca 1882, czyli w ciągu dziewięciu miesięcy, wywieziono go ztamtąd 1,628,750 funtów, w cenie mniej więcej 51½ kop. za funt — czyli za sumę 839,484 rubli. Jaki piękny zarobek dla ludności! To też dalmatyńcy zazdrośni o tę złotodajną roślinę, nie chcą udzielać obcym jej nasienia; mimo to zaprowadzono hodowlę *pyrethrum* we Francyi, w Stanach Zjednoczonych Ameryki i w Kalifornii. Proszek z kalifornijskich kwiatów otrzymany, zowie się w handlu *butah*.

Kwiat zbiera się w chwili zupełnego rozwoju i dojrzałości pyłków nasiennych, bo jego siła ma być wtenczas największa; ścina się z łodygą na cztery cale od ziemi i suszy w cieniu. Gdy wyschnie, zamyka się go szczelnie aż do sproszkowania — a im delikatniej sproszkowany, tem energiczniej działa. W ogóle, im świeższy, tem jest lepszy; długie leżenie pozbawia go wiele siły.

Botanicy którym idzie nietylko o ludzi, ale i o rośliny utrzymują, że dobrze byłoby moczyć te kwiaty w spirytusie, a następnie rozcieńczony wodą płyn otrzymany w ten sposób, używać go do skrapiania roślin których liście i korzenie trapią owady. Probowano proszek perski palić w miejscu zamkniętem, zwilżywszy go poprzednio wodą, dla odurzenia dymem much. Ma to być pożytecznem zwłaszcza w cieplarniach.

Jak wiele rzeczy dających się spieniężyć z korzyścią, tak i proszek perski bywa często fałszowany: mieszają do niego trociny rozpylone z drzewa żółtawego, a także i mąkę. To ostatnie nie jest przynajmniej szkodliwe, bo trucizna łatwo mąkę przenika. W Niemczech fałszują sam kwiat, przez domieszanie do niego rumianków łąkowych, tak bardzo podobnych do rumianku perskiego.

Kwiat ten należy do rodziny złożonych, najliczniejszej w królestwie roślin, do gatunku *Chrysanthemum*, a po polsku nazywa się *złocien*.

Zofia Urbanowska.

— I tak znowu będziemy siedzieć w domu zamknięci przez cały dzień!... to nieznośne: myślałem że wyznawcy anglikańskiego kościoła, tylko niedziele święcą taką nieruchomą kontemplacją, aż tu dzisiaj w Nowy rok ma być toż samo! Gotów jestem dla tego samego prędkiej niż zamierzałem uciec od was..., bo wy pewno jeszcze więcej dni tak święcicie?...

— Nie; a przedewszystkiem nie mieszaj rzeczy. Niedziela niedziela, a Nowy rok to wcale co innego, to jedynie rzecz zwyczaju, mody...

— Mody?...

— Tak. Dawniej, nie bardzo dawno jeszcze, był u nas zwyczaj że w Nowy rok odwiedzaliśmy się wzajemnie, życząc sobie wzajem aby rok przyszły był nam miły; mianowicie młodzież męzka składała te życzenia obowiązkowo w domach rodzinnych...

— A! to zupełnie jak u nas nad Wisłą w Nowy rok i na Wielkanoc!...

— Co mówisz?

— E... nic, tak sobie coś przypomniałem... A teraz już niema u was w Stanach Zjednoczonych tego zwyczaju? I dla czego?

— Hm, powiedziałem ci, zwyczaj, moda; wyszło to ze zwyczaju i koniec na tem. Ale trzeba ci wiedzieć, że jeżeli wyszło ze zwyczaju u nas to jest wśród białych w sferach tak zwanych „wyższych” to, jak kapelusze i suknie przeniosło się trochę niżej i znowu jest w modzie w sferach niższych, mianowicie u wolnych murzynów tutejszych. Jeżeli się chcesz zabawić, chodź!... Powiadają ci, nie śmieszniejszego jak przyjęcie u naszych murzynów w dzień Nowego roku, naśladowane w najdrobniejszych szczegółach wedle dawnego zwyczaju. Pójdź, właśnie u naszego rządcy jest przyjęcie świąteczne!...

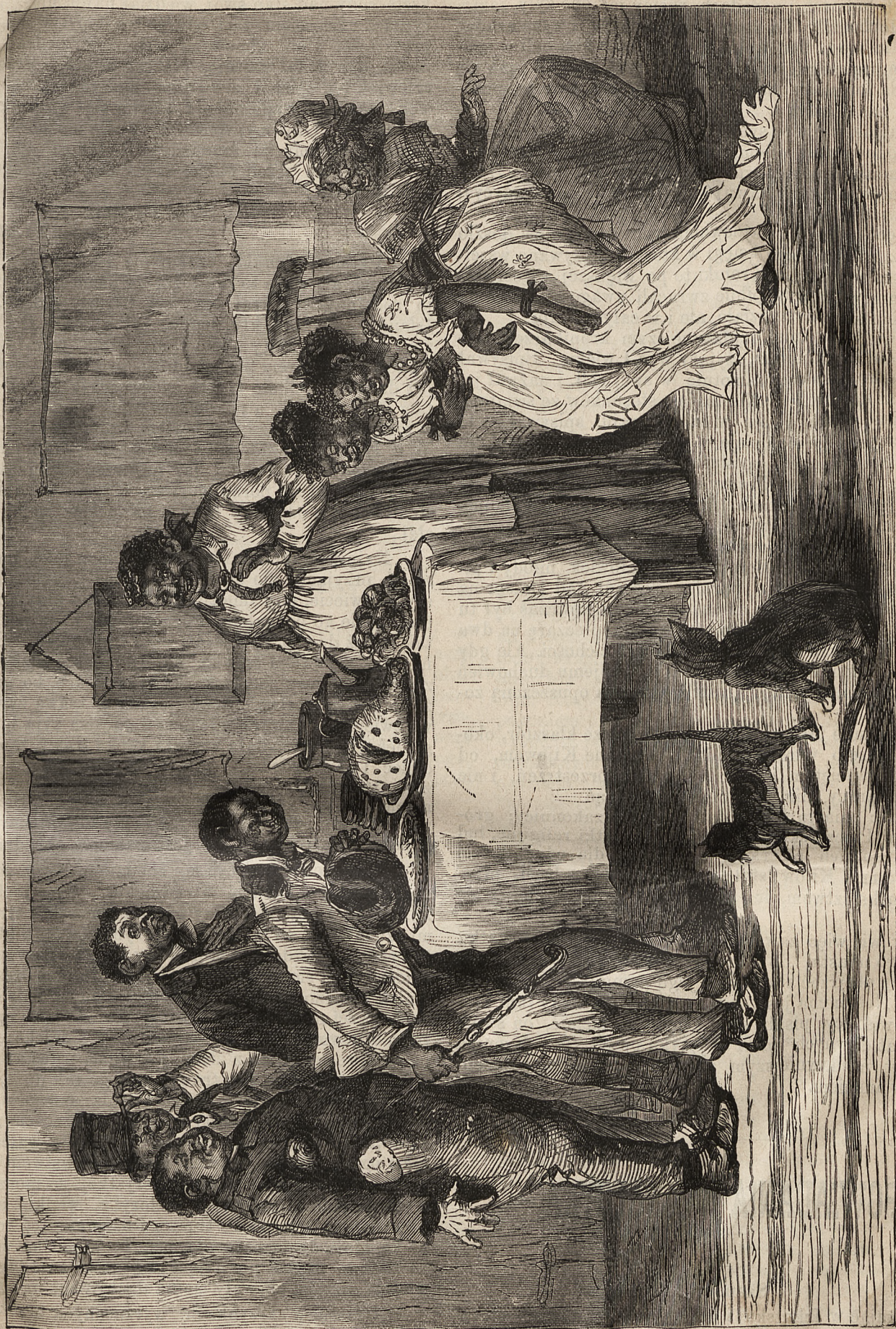
Znudzony bezczynnością poszedłem chętnie za przyjaciela do którego gościłem. Weszliśmy wkrótce do salonu państwa Guils, wolnych murzynów zarządców majątku w rodzinie mego przyjaciela. Salon był świetny, zastawa z zimnych mięsów, ciast i wina, doskonała, i ciągle oczekująca na gości, zupełnie jak u nas na Wielkanoc, tylko państwo czarni jak smoła z wystającymi policzkami, jaskrawo i błyszcząc ubraniu i panny domowe miss Guils i miss Chloe Guils w najmodniejszych możliwie sukniach i fryzurach, w bransoletach, koronkach, jedwabiach i z całym zasobem starannie naśladowanych wielkoświatowych obyczajów, smutne na mnie uczyniły wrażenie. Są to zdaniem mego przyjaciela najpocziwsi ludzie pod słońcem i wierni od dziadów słudzy jego rodziny: o ileż byłoby miłej i stosowniej do ich własnej ludzkiej godności, gdyby zamiast naśladować bezmyślnie zwyczaje swych państwa, chcieli być dalej sami sobą, zachowując stare zwyczaje właściwe ich stanowisku. Udawanie bezmyślne i naśladowanie, niemilem jest i poniża godność ludzką.

OBRAZKI Z LITERATURY.

I.

NESTOR ZAKONNIK KIJOWSKI.

Przyjemna to rzecz, gdy nam opowiadają o dawnych dziejach; niektóre bitwy, meztwo bohaterów, poświęcenie życia dla obrony innych, szlachetne czyny dziewic i życie pełne wielkich cnót niewiast i matron zaciekawiają umysł nasz, rozbudzając uczucie, dla przeszłości. Wsłuchując się w te chcielibyśmy naśladować tych, którzy spędziwszy pożyteczny żywot swój, spoczęli już oddawna w mogile, a my z...



ania pragniemy, dowiedzieć się o najdrobniejszych szczegółach ich życia.

Gdyby jednak ktoś nam opowiadał o tem, co sam widział, przeszłość nie sięgałaby daleko, a jednak wiemy o najdawniejszych ludziach i narodach, wiemy jak one żyły, jakim sposobem dochodziły do rozmaitych odkryć i wynalazków, jakie s obie ludzie ci budowali mieszkania, z kim byli w zgodzie, a z kim prowadzili wojny; wiemy nawet, co jedli i jak się ubierali. Są to rzeczy bardzo ciekawe, ale jakimże sposobem one do nas doszły?

Oto najpierw ojciec synowi, matka córce i w ogóle starzy ludzie opowiadali o tem, co się za ich życia działo; ci znów opowiadali to następnym pokoleniom i tak dalej. Dużo więc wiadomości o latach dawnych, przeszło do nas tradycją, to jest opowiadaniem.

Najwięcej jednak i najpewniejszych szczegółów doszło do nas przez kroniki, czyli księgi w których spisywano wszelkie ważniejsze wypadki. Kroniki te po większej części spisywali zakonnicy, którzy pilnie zwracali uwagę nie tylko na to co się w ich klasztorze działo, ale i w całym kraju.

W słowiańszczyźnie najdawniejszym kronikarzem jest Nestor, zakonnik kijowski, żyjący w XI wieku. Spisywał on taką kronikę, siedząc samotnie w swjej celi i nazwał ją: „powieścią lat dawnych”. Nie mając stosunków ze światem, nie mógł pisać co się dzieje w całym kraju, spisywał za to bardzo pracowicie, co się dzieje w jego klasztorze, i naokoło klasztoru. Spisywał też, co słyszał od starszych od siebie zakonników, którzy osiedliwszy się w pieczarach i na poły załedwie skleconych chatach, prowadzili życie bogobojne, i lud okoliczny w wierze świętej umacniali.

W kronice swojej opowiada w ten sposób:

„Hilaryon, ksiądz Berestowski, człowiek młody i piśmienny, opuściwszy swoją parafię, poszedł nad Dniepr na górę, gdzie teraz Pieczerski monaster stoi, a wówczas był tu wielki las, i wykopał Hilaryon sobie małą pieczarę na dwa sążnie głęboką, dokąd chodził i modlił się w cichości. Ale gdy w r. 1050 wielki książę Jarosław kazał go swojemu duchowniemu swu wybrać na metropolitę *) wtedy pieczara opuszczoną została”.

Dalej opisuje jak założono na owę górę klasztor, okół którego zaczęło wzrastać miasto nazwane Kijowem, od Kijów jakie po wyciętym lesie zaległy dużą przestrzeń, i nie mało podjęto pracy, nim je zdołano uprzętnąć.

Tak więc miastu Kijów dali początek zakonnicy; gromadzili oni w Pieczerskim klasztorze pamiątki religijne, lud przychodził do nich po radę, a zarazem dla oddania czci tym pamiątkom. Kijów stał się powoli stolicą Rusi, przodował innym księstwom, lud zaś chętnie około tej stolicy się gromadził.

Nestorowi więc zawdzięczamy, iż wiemy o początku tego pięknego miasta, do którego jeszcze dziś przyjeżdżają z daleka, aby obejrzeć starożytne jego pamiątki.

Tenże Nestor ma jeszcze tę zasługę, że kiedy inni kronikarze słowiańscy pisali swe księgi po łacinie, on swoje „powieść z lat dawnych” pisał w języku ojczystym. Kronika też jego jest najdawniejszym zabytkiem w całym piśmiennictwie słowiańskim.

Z. Morawska.

OPOWIADANIA ISLANDCZYKA.

I.

Szanowna Redakcyo!

Mieszkając w Irkucku i potrzebując koniecznie służących, rodzice moi przyjęli między innymi do służby jakiegoś

człowieka dziwnego i niezachęcającego na pozór. My, to jest ja, mój brat i siostra baliśmy się go prawie. Niezadługo przecież przywykliśmy, a nawet poprzyjaźniliśmy się z nim, spostrzegłszy z największym zdziwieniem że był wykształcony nad stan swój, wiedział nawet niektóre daty historyczne. Zdumieni tem odkryciem dopytywaliśmy go o jego przeszłość, a on, zimowemi wieczorami siedząc z nami przy ogniu, opowiadał chętnie, płacząc często. Przed tygodniem człowiek ten opuścił z wielkim naszym żalem nas z własnej woli, znalazłszy sposobność udania się w upragnioną podróż na zachód. Otóż my, spisawszy wedle możności jego opowiadania, posyłamy je szanownej Redakcyi dla umieszczenia w Wieczorach jeżeli warto, a jak nie, to niechaj mu... kosz lekkim będzie.

Stały czytelnik

Sobol Irkucki.

Pytacie, dziatki, czemu nie uśmiecham się nigdy? Ja nie wiem, ale może to dla tego, że uśmiech mój został w kraju rodzinnym, a kraj ten jest bardzo daleko. Imię jego Islandya, *Eisland*, kraj lodów, tak go nazwał Flokki, podróżnik norweski, który około r. 870 wraz z towarzyszami Nadd' Oddem i Gardarem poznał bliżej tę ziemię, znaną z daleka już dawniej. Około r. 874 Norweczyj Ingolf pierwszy się tam stale osiedlił, a potem inni rodacy jego, gdy źle im było w ojczyźnie Norwegii pod berłem króla Haralda Haarfagera. W r. 1,000 wprowadzona tam została religia chrześcijańska, a w bieżącym już wieku ja, najprzód zapłakałem, a potem uśmiechnąłem się poraz pierwszy w życiu w małej chatce, zbudowanej z odłamów lawy i kawałków ziemi mchem porosłej.

Najprzód zapłakałem, to też płacz jako najpierwszy na ziemi przyjaciel nie opuścił mię więcej, i dotąd mi towarzyszy po świecie, gdy śmiech, drugi z kolei przyjaciel, pozostał tam, gdzie go poznałem. Później... cóż to ja później robiłem? tak to już dawno, że miałem czas zapomnieć. Ha, jak zapamiętałem, zrywałem trawkę, najdrobniejsze ździebka zielone, z pomiędzy lawy potrzaskaney wyrastające, bo już wiedziałem że to jest błogosławieństwo Boskie, bo trawą żywią się domowe zwierzęta, których mlekiem i mięsem żyją ludzie. Jeżeli gdziekolwiek wyrastała większa kępka trawy, tam ją kosił mój ojciec i nasi sąsiedzi, i przechowywało się ją starannie na zimę, tak troskliwie, jak wy skarby przechowujecie, gdy je macie. A gdy trawa się żęła w miesiącu Sierpniu, to się zwało żniwo; i im obfitszą była, tem radowaliśmy się bardziej, zupełnie jak u was na wsi, jeśli pszenica obrodzi i żyto.

Gdy trochę podrosłem, chodziłem ciągle za matką i pomagałem jej w każdym zatrudnieniu. Więc pielegnowaliśmy zwierzęta, a potem szliśmy na brzeg morski i wraz z sąsiadami szukaliśmy, co morze nam przyniosło?... a kto co znalazł, to brał; najbardziej uganiał się za drzewem, innym ludziom rozbił się okręt, morze wyrzuciło nam szczątki, a u nas z nich robiono sprzęty, naprawiano niemi łodzie, budowano choć części niektóre chat naszych. Rodzice opowiadali mi, że to drzewo bywa ogromne, jak góry, i daleko tam gdzieś za morzem rośnie samo z ziemi, jak u nas trawka, tylko jest go daleko więcej niż u nas trawy, jest go tak dużo, że aż go ludzie używają na opał i do gotowania żywności, tak jak my używamy ususzone porosty morskie i chrzęście ryb, i ususzone odpadki zwierzęce. Słyszając to, zdumiewałem się nad takim ogromnem bogactwem i marnotrawstwem ludzi zamorskich. Zbieraliśmy zresztą wszystko, co morze przyniosło, a jak przyniosło nieżywego wieloryba, wielkie było szczęście na całym wybrzeżu, bo tłuszcz i fiszby, toż to prawie tyle, co kopalnia dyamentów dla nas, bo je można sprzedać, niektóre inne części nie dające się sprzedać, dawały się zjeść, wielkie zaś ości używały się na dachy chat naszych.

Czasem w skrzynkach, wyrzuconych przez morze, cuda się znajdowały, płótno, odzienie, suchary, ale prawie wszystko, czego nie można było zjeść, szło na sprzedaż, bo na cóż zda się w Islandyi to, co się ugryźć nie da?... kiedy przedewszystkiem trzeba żywności, a tam nie rośnie nic, prócz trawy i mchów. To szczęście, że są ryby; to też chodziliśmy

*) Do r. 1050 metropolitę kijowskiego wybierał zawsze patriarcha konstantynopolitański, ks. Jarosław zaś chcąc władzę swoją zająć, sam wybrał metropolitę, o co powstały kłótnie z patriarchyą.

zawsze z matką czekać na brzegu na ojca, wracającego z połowu i pomagaliśmy przy rybach, dopóki nie podrosłem tak, że sam z ojcem na połów jeździłem. Byłem z tego bardzo szczęśliwy i dumny, zarabiałem na życie, jak dorosły człowiek. W miesiącu kwietniu przyplływały do nas mnóstwo statków norweskich, duńskich, angielskich, francuzkich, na połów dorsza szczególnie; przyplnęliby ci rybacy i wcześniej, ale im ich rządy na to nie pozwalają, bo wcześniej wielkie jest niebezpieczeństwo w zimie na naszych morzach. Ale nam nikt nie broni, żyć nam potrzeba, a czemuż żyć, jeżeli nie rybą? Więc już w miesiącu lutym sąsiedzi z głębi Islandyi przychodzą do nas na wybrzeże, kobiety i dzieci zostają w chatach, my mężczyźni idziemy na robotę na morze po chleb, bo ryba to chleb Islandczyka, bez niej i trawaby nie pomogła i tę trochę swoich zwierząt, które pielęgnujemy po chatach i trzebaby umierać z głodu.

Więc w lutym, o drugiego lub trzeciego z rana, to jest wśród głębokiej nocy i ciemności stoimy wszyscy na wybrzeżu, odkrywają się głowy i mówimy głośno do Tego, który nad falami panuje: „O wielki Boże! w niebezpieczeństwie strzeż mnie! Łódka moja mała a morze jest potężne!” Po modlitwie wchodzimy w łódzie, odpływamy wiosłując i do stosownego miejsca przybywszy, łowimy na wędkę przez cały dzień, trzęsąc się od zimna i walcząc z falami wzbudzonymi częstokroć. Wieczorem wracamy do brzegu ze zdobyczą, zbliżywszy się, trzeba często wskoczyć w morze, zaprząć się do łodzi i ciągnąć je na brzeg. Gdy wyjdzie człowiek z morza, jeżeli to jest w lutym, marznie na nim zaraz odzienie ze skór baranich lub z ciał morskich, tak marznie, jakby był w grube żelazo odziany; ale niema czasu o tem myśleć, bo trzeba dzielić się połowem. Nie każdy przecież taki jest magnat, żeby miał własną łódź. Więc jedna część połowu idzie dla właściciela statku, druga na dziesięcinę kościelną, a resztą dzielimy się my, rybacy: kobiety z dziećmi już tam czekają i zabierają, co ojcowie, mężowie, i bracia zapracowali.

I znowu każdy już swoje własną rybę przyrządza; co najpiękniejsze sztuki zachowuje się na sprzedaż, inne suszy się na zapas domowy na wietrze. Dopiero wszedłszy do chaty, jeżeli kto jest zamożny i ma dużo odzieży to zmienia zmoczoną na suchą, i jeżeli jest czem ogień rozniecić, to się grzejemy, i jeżeli połów był obfity, to matka lub żona daje nam po kawale gorącego dorsza, w tłuszczy rybim rozgrzanego, w gdzie bieda, to makę owsianą kupną z miasta i rozrobioną a ciepłej wodzie, gdzie zaś wielka bieda, to mech nasz islandzki kochany, suszony, roztarty i rozprażony w mleku.

A potem opowiadamy kobietom i dzieciom różne okoliczności całodzienną pracy, i starzy opowiadają młodszym dawne nasze bajki, o ludach mieszkających w morzu i w powietrzu, a choć nawet dzieci wiedzą, że to są tylko bajki, przecież bardzo to jest miło opowiadać i słuchać, i nieraz śmiałem się w takich chwilach serdecznie wraz z innymi. Bóg w rodzinie, w której jest uczciwość, zgoda, praca i swoboda, szczęście być musi. Byliśmy bardzo szczęśliwi.

Latem na malutkich naszych konikach, bo wozów u nas niema, wozimy z wielkim trudem przez obszary kamienistą lawą najeżoną, przez bystre rzeki i okrażając wulkany śniegiem pokryte, wszystko, co dało się zebrać przez zimę, na sprzedaż do kupca; i kupujemy, co nam najkonieczniej potrzebne, noże, siekiery, kosy, makę owsianą i t. p. rzeczy. A gdy tak idziemy przy koniach tam i napowrót, to nieraz tu i owdzie kąpiemy się w ciepłej, czystej jak kryształ wodzie, która gorącami strumieniami wytryska w górę wysoko na naszej Islandyi, i w zagłębieniu skał tu i owdzie ostygłszy, czeka na zmęczonych wędrowców, aby się im ofiarować na kąpiel. Latem także chodzi się w kilku na wesołe wycieczki, wybierać puch edredonowy, którym ptactwo to wyściela sobie gniazda, zabiera się i jaja, a puch ten, sprzedany kupcowi, dobrze się opłaca. Na takie wycieczki między skały, wulkany, lody i gorące, bijące w górę źródła, i rzeki wzburzone, chodzą tylko młodzi, dzielni chłopcy, na wyścigi ubiegając się o bogatszą zdobycz, a jak tam przytem wesoło, swobodnie my się bawimy, jak ja się śmiałem nieraz, tego

do dzisiaj nie mogę zapomnieć, choć już dawno opuścić musiałem Islandyę, wyrzucony z rozbitego statku na cudze brzegi, i napróżno odtąd starając się wrócić na swoje... kędy pozostał mój młodociany przyjaciel, śmiech młodociany.

II.

Pewnego razu w godzinę może po północy zabraliśmy wędki i wyszli nad morze, gdzie zebrał się duża gromada, odkryliśmy głowy, odmówili głośno modlitwę jak zwykle i wsiedliśmy do łodzi licznie stojących u brzegu, popłynęliśmy na połów. O świcie zerwała się burza, ojciec natychmiast przeczuwszy ją zanim się pojawiła zawrócił do domu, ale mimo całego jego doświadczenia ubiegła go tym razem, wybuchła w chwili, gdy już zbliżaliśmy się do rodzinnego wybrzeża i porwawszy nędzny nasz statek, poniosła go na pełne morze, to wyrzucając w górę na szczyt bałwanów takich i daleko wyższych jak tutejsze wasze najwyższe kamienice, to strącając w czarne przepaści tak głębokie jakby morze chciało do dna się roztworzyć, aby nas pochłoniąć. Długo walczyliśmy z burzą, aż nareszcie spadając w jedną z takich przepaści, poczułem, że zabrakło mi łodzi i wiosła, i straciłem przytomność. Lepiej byłoby mi gdybym był nie ożył, bo pewno zginął wtedy mój ojciec i towarzysze, a ja otworzyłem oczy leżąc na ziemi, wyrzucony falą, która cofając się, jeszcze nogi mi wilżyła. Instykt zachowawczy w żywej istocie jest tak potężny, że zanim zebrałem myśli, już wprzód poczułem się dalej od morza, aby mnie nie zabrało znowu, gdy fala powróci. Uczyniwszy to leżałem czas jakiś nie mogąc się czegoś ruszać, i dziwiąc się coraz bardziej, że matki ani sąsiadów niema koło mnie i myśląc co się z ojcem stało. Dopiero gdy mi zupełnie przytomność wróciła i odpocząłem o tyle, że mogłem wstać, spostrzegłem, że jestem na pustem i nieznanem mi wybrzeżu, tak zatarasowanym od morza lodami i lodami zawałonem, że zrazu nawet sądziłem je tylko lodowiskiem jakimś olbrzymiem. Nigdzie ani śladu roślinności nie ujrzałem, zimno nawet dla mnie było przejmującym. Rozpatrzywszy się bacznie, jako znający się na rzeczy, poznałem prędko, że wyrzucony zostałem na jakąś lodowatą wyspę w północnej stronie mórz, bezludną zupełnie, i nie przedstawiającą żadnych środków do życia. Rozpacz mię ogarnęła nie za życiem, które zdawało się niepodobieństwem tam utrzymać, lecz za rodzicami, za rajem, w którym byłem zrodzony, za Islandyą. Upadłem na lód i płakałem, chcąc umrzeć. Ale śmierć nie przychodziła sama, a tymczasem leż zabrakło i głód przyszedł, a ja przecież miałem na sobie jak każdy z nas mocno przywiązaną torbę z żywnością. Otworzyłem i jadłem, a gdym kładł do ust tę żywność ręką matki do tej torby włożoną, lzy odnalazły się na nowo.

Zjadłszy, wstałem i włókłem się prawie bezmyślnie po lodowiskach, aż okrążywszy prawdziwą górę lodowatą, stanąłem osłupiały, i pewien, że złe moce naigrawają się ze mnie, ludząc fałszywem widzeniem, złudą tak zwaną, bo w odległości na tle chmur ołowianych i lodowisk białawych, ujrzałem to co u nas widywałem tylko w mieście Rejkjaviku: kościoł i parę domków koło niego... nie takie jak tu u was, ale zawsze, domy to były. W godzinę później doszedłszy do nich dotknąłem je ręką i jeszcze wątpilem... Kościół był otwarty, książd misionarz miał naukę, mała gromadka ludzi słuchała, poznałem nawet i potrochu zrozumiałem język duński. W chwilę później wszystkie oczy zwróciły się na mnie, otoczono mię, dowiedziałem się, że jestem w Grönlandyi przeszło o osmdziesią mil od Islandyi mojej.

— Grönland!... a gdzież tu jest choć źdźbło zieleni? czy bywa tu zielono choć latem? — zawołałem.

— Nigdy! ale mimo to doskonale jest tutaj! Jak w raju! — odparkł z dumą jakiś człowiek. Zrozumiałem że musiał się urodzić w tym okropnym kraju i przeto tak mi w nim dobrze jak mnie w Islandyi.

— A jednakże. roku 986, kiedy Eryk Czerwony z Norwegii uciekając odkrył tę wyspę i osiadł na niej, musiała ona

yc zieloną, bo inaczej nie byłby jej przecież Zielonym kram nazwał — rzekł ksiądz — klimat tylko zmienił się od tego czasu jak wszystko wszędzie na ziemi się zmienia. Królestwo Boże dopiero niewzruszonym będzie. Dobry ksiądzabrał mię do siebie, do domku z drzewa obficie oblanego miodem, gdzie wewnątrz był piec żelazny: po raz pierwszy wzięłam takie wygodę wspaniałe. Dowiedziałem się że dzisiaj już tylko te zachodnie wybrzeża na które się dostawałem, zamieszkałe, nie bardzo zresztą gęsto, bo na przestrzeni przeszło trzystu mil żyje tylko ze dwustu Duńczyków, kuców, urzędników, rzemieślników, i dziesięć tysięcy Eskimów niby właściwych Grenlandczyków. Ksiądz opowiadał mi że dawniej było inaczej. Potomkowie Eryka Czerwonegoyli tacy dzielni marynarze i takie mieli statki nie lada, że ływali ztąd z Gröenlandyi do Nowej Ziemi i Nowej Szkocyi, więc odkryli Amerykę blisko na pięć wieków przed Kolumbem. Dużo różnych rzeczy dowiedziałem się od tego siedzą, o których mi się ani śniło i wszystko, co wiem o moim własnym kraju, to od niego. Powiadał też, że za dawnych czasów od Eryka Czerwonego tak się wiodło jego osadzie z Gröenlandyi, że na zachodnim brzegu wyspy tej stanęły ztery kościoły parafialne i ze sto wsi, a na wschodnim brzegu stało sto dziewięćdziesiąt wiosek, dwanaście kościołów, wa klasztory, i stolica biskupia, mieszkańcy hodowali różne domowe zwierzęta i co lato sprzedawali różne produkty okędom przypływającym z odległych krajów. A potem nie dość klimat powoli się zmieniał i lody nakryły Gröenlandyę, jakawa naszą Islandyę, ale jeszcze straszna choroba przyszła a ludność, a w końcu napadli na nią Eskimosi jak zbójcy zniweczyli do reszty. Lody tak opanowały teraz owe ludneiegdys wybrzeża wschodnie że wcale do nich niema dostępu.

Dobry ksiądz sam bardzo biedny, trzymał mię u siebie chodząc z nim często odwiedzać Eskimosów, których nauczyciele uczą tu czytać, a misjonarze usiłują nawrócić do chrześcijańskich pojęć, ale to trudno idzie, a bałwochwalstwoawsze tam panuje. Naprawdę, zdaje się że ci biedni ludzie nie mają może i czasu myśleć o czem innem prócz o staraniu się o żywność, bo nie tak tu o nią łatwo jak w naszej rajskiej Islandyi. Tu żyje się tylko przez fokę i z foki, bez foki trzeba by umierać. Z foki jest tłuszcz na światło i opał, mięso na pożywienie; wnętrzności, które służą za sznury, worki, nici szyby; a ze skóry foki jest odzież, jest pościel i wysłanie cian wilgotnej chaty z ziemi i z kamieni zrobionej; skórą foki pokrywa się też nędzna łódź tutejsza. A wszystko, co do polowu i do polowania na niedźwiedzie, reny i ptactwo, porzuba, łódź, harpun, pikę i odzienie własne i wszystko, musi Eskimos sam sobie zrobić z wielkim trudem. Z łódką trudniej, a dziwna jest, długa około pięć łokci, szeroka niecały łokieć nawet, w środku w pokrywającej ją skórze foki jest zrobiony otwór, przez który Eskimos wsuwa się w łódź do pasa i szczerze koło pasa się przytwierdizszy, siedzi już tak w tej łodzi jakby we własnej skórce i nie może z niej wyleźć, a ślizga się po morzu wśród lodów zupełnie jak ryba. Długo pozostawałem u dobrego księdza, tęskniąc do Islandyi, aż przybił do nas statek, na którym puściłem się do Norwegi, sądząc że ztąd może łatwiej się do Islandyi dostanę, ale długo mi się to nie udawało.. może jeszcze się uda myślałem. Byłem tylko mógł umrzeć i kości złożyć w Islandyi, mniejsza już o resztę... A gdybym też jeszcze ujrzał rodziców na tej ziemi?... Wszystko jest w mojej Boga. Wreszcie wybrałem się na płynącym w moje strony statku.

(d. c. n.)

Nie chcąc się dać w niczem prześcignąć Francuzom, Anglicy postanowili wybudować wieżę na wzór wieży Eiffel'a. Nadesłano już do Londynu mnóstwo planów, których konkurs ma być rozstrzygnięty w przyszłym miesiącu. Budowę wieży ma kierować zdolny bardzo inżynier nazwiskiem Watkin. Wszystkie zarzuty co do bezużyteczności podobnej wieży, w obec mglistego powietrza Londynu, odparto tem, że wieża wznosić się będzie ponad warstwę mgły i dymu, skutkiem czego właśnie podczas mglistych dni, osoby zwiedzające wieżę używać będą mogły pięknej pogody. Są tacy co marzą już o urządzeniu domu zdrowia dla chorych na jakimś 16-tym albo 17-tym piętrze, specjalnych sypialni i t. d. Wieża Watkina, ma posiadać tę wyższość nad wieżą Eiffel'a, iż wykonana będzie z najlepszej stali, gdy tymczasem do wzniesienia tamtej użyto żelaza.

SZARADA.

(od P. Z. dla Rosiczki z nad Rowu).

*Pierwsze trzecie to wielkie naczynie drewniane,
W gorzelniach i browarach zwykle używane,
Drugie czwarte tych pewno często doświadczacie,
Gdy w lecie nierozważnie po słońcu biegacie.
Trzecie czwarte świat dla was nowy a otwarty,
Niejednego nauczyć was mogą ich karty,
Wszystko, gdy ludzie zdolni łatwo się tłómaczy
Ze chętnych oraz licznych znajdują słuchaczy.*

Łamigłówka sylabowa.

(ułożyła Biała Perelka dla Króla Ćwieczka).

Wyrazów 16. Początkowe i końcowe litery od góry do dołu, złożą nazwy dwóch peryodycznych pism: Sylaby: go—li—ko—Jas—No—Za—mun—ni—kier—Re—nie—wiec—Da—wa—dos—Noc—pół—ja—Ya—chy—ri—wid—be—rzesz—ma—Ro—E—wa—Wp—raz—Ed—Il—fez—O—Cze—zi—sya—Zam—Ol—wi—e. Znaczenie wyrazów: 1. Dwie spółgłoski. 2. Roślina należąca do rodziny Ranunculaceae. 3. Miasto w Azji mniejszej. 4. Kraj w Europie. 5. Rzeka w Aryce południowej. 6. Powieściopisarka polska. 7. Osada w gubernii Lubelskiej, założona przez Mikołaja Reja. 8. Rzeka w Ameryce południowej wpadająca do Amazonki. 9. Naród w Europie. 10. Miasto pow. w gub. Podolskiej. 11. Król izraelski. 12. Przysłówek. 13. Najwyższy szczyt Andów Peruwiańskich. 14. Człowiek ocalony podczas potopu. 15. Część doby. 16. Imię męskie w 3-m przypadku.

TREŚĆ: Nowy rok, wiersz p. T. P. (z drzew.) — Pod wpływem błogosławieństwa, powieść. — Kwiatek obrońca p. Zofię Urbanowską. — Nowy rok w czarnych, urywek z podróży po Ameryce (z drzew.) — Obrazki z literatury p. Z. Morawską. — Opowiadania Islandczyka. — Rozwiązania. — Łamigłówki. **Dodatek:** Głos sumienia (drzew.) — Ślizgawka, wiersz p. Z. Morawską. — Gra na skrzypcach, opowiedział Pegaz skrzydlaty. — Łamigłówki — Skrzynka do listów. **Dodatek książkowy:** Szesnastoletni wojewoda, powieść p. Michalinę Zielińską.



Głos sumienia.

GŁOS SUMIENIA.

ZE WSPOMNIENIĘ MŁODOŚCI.

Było nas kilkoro, bawiliśmy się w chowanego, ułożywszy się że dla zwiększenia interesu w zabawie, każdy znaleziony przed upływem pierwszych pięciu minut, będzie dawał fant, jako niedbale schowany. Wyjątkowo, udało mi się po dwa razy wyjść zwycięzko z zadania, to jest bez fantu, gdyż szukano mię raz kwadrans, drugi raz aż pół godziny. Wzięłam sobie tedy za punkt honoru aby zawsze tak było. Tymczasem, gdy znowu na mnie przyszła kolej schować się, byłam w nielada kłopotcie:

wyzyskaliśmy już albowiem w kilkogodzinnej zabawie wszystkie domowe skrytki i trudno było obmyśleć jakąś nową, którejby nie odnaleziono od razu. Kręcąc się śpiesznie i zakłopotana po całym domu, spostrzegłam ogromną skrzynię z wielkimi przegrodami, tak zwaną „spiżarnię” stojącą w dużej sieni, a której ciężkie wieko spuszczone było, lecz niezamknięte, tylko podłożone cegły kawałkiem, umyślnie, aby świeże powietrze miało dostęp do wnętrza skrzyni, pustej chwilowo i przygotowanej właśnie do przyjęcia nowych zapasów. Dosyć silna z natury, podważywszy ze wszystkich sił owo wieko, wsunęłam się pod nie w dużą przegrodę, i krzyknąwszy z pełnej piersi na całą sień:

— Już!... — zapadłam w skrzynię, cegła popchnięta wpadła wraz ze mną, a wieko zatrzasnęło się własnym ciężarem. W chwilę później usłyszałam tupanie niby całego stada przebiegających owiec, potem okrzyki, wołania, śmiechy, pytania, domysły, a ja rozpływałam się z gorąca, ale także i z uciechy że się tak przepyszenie schowałam. Dopiero gdy coraz trudniej było mi oddychać, przypomniałam sobie, że mieliśmy raz na zawsze zakazane nie tylko chować się w skrzynię, ale nawet zaglądać w nią i rękę w nią wkładać, gdyż ciężkie wieko niezręcznie podniesione, mogło zapadając zranić głowę lub rękę zmiażdżyć. Przypomniawszy to sobie, zrozumiałam zaraz łatwe do pojęcia skutki mego nieposłuszeństwa, brak powietrza, uduszenie, bo z pewnością nikt nie przyjdzie szukać mnie w zakazanym kącie wielkiej sieni, zaczęłam więc krzyczeć ile sił starczyło. W chwilę później, przy akompaniamencie okropnej wrzawy przybiegła ciotka z domownikami, roztworzyli skrzynię i wyciągnęli mnie z niej siną ze strachu i z krzyku, bo nie z braku powietrza jeszcze przecież i rozpoczęło się śledztwo. Ciotka pytała:

— Dziecko weszło samo do skrzyni, ale kto wyjął cegłę która leżała na rogu mocno i sama spaść nie mogła? he?... Dziecko samo tego nie zrobiło, bo rozumie niebezpieczeństwo...

Wystraszona tem niebezpieczeństwem właśnie, rozpieszczona przez nazbyt dobrą ciotkę, spłakana, nie mogłam jakoś zebrać myśli w pierwszą chwilę. Niezadługo Anka służąca, surowo, nie tylko przez samą ciotkę ale i przez wszystkich domowników została złajana, ponieważ ze śledztwa wypadło, że nikt inny nie mógł cegły wyjąć, tylko niechybnie ona. Uczyniła zaś to, aby podłożyć cegłę pod swoją własną skrzynkę, dla wyniesienia jej i zawartych w niej rzeczy jak najwyżej, nad wilgotną podłogę, ku czemu zawsze mnóstwo cegieł było potrzeba. Wtedy dopiero przypomniało mi się, że nikt tylko ja popchnęłam cegłę, i rzuciłam ją wewnątrz, wchodząc sama do skrzyni, co niezbyt łatwym było. Już miałam to powiedzieć, gdy zapewnienie ciotki że „dziecko samoby tego nie zrobiło”, powstrzymało mi wyznanie na ustach. Zdawało mi się że fakt iż „dziecko to zrobiło” będzie dowodem nierozumu tego dziecka, że nadwerzę moją dobrą sławę poprostu. Tymczasem Anka, po tysiącnych protestacjach umilkła nareszcie, poszła do kuchni i ogólnie uznana za winną, siadła na swój własnej ukochanej skrzynce, płacząc, jakby się już i sama winną uczuła.

Siedząc w pokoju ciotki, potem przy herbacie, na koniec położywszy się już do łóżka, słyszałam ciągle ten płacz Anki, choć na prawdę już go słyszeć z drugiego końca domu nie mogłam. Zatykałam sobie uszy, ale to nic nie pomagało, słyszałam ciągle płacz, co mnie okropnie męczyło, i oka nie dawało zmrzyć. Nareszcie, około północy, doprowadzona do rozpaczki tem łkaniem bezustannem, wyskoczyłam z łóżka, pobiegłam do ciotki, która swoim zwyczajem nie spała jeszcze, i padłszy przed nią na kolana, wyznałam całą prawdę, płacząc. Ciotka uznała ciężką moją winę w zatajeniu prawdy, równającą się rozmyślnemu kłamstwu, zaprowadziła mnie zaraz do kuchni, gdzie wobec całego kuchennego aeropagu zabierającego się już do snu, wyznałam winę

i uznałam niewinność obwinionej. Po takiej rehabilitacji Anki, płacz jęczący mi w uszach ustał nagle, ciotka uściśkała mnie i zasnęłam ledwo zdążywszy się położyć.

ŚLIZGAWKA.

Raz, dwa, trzy! łyżwy lśnią się, dalejże po lodzie Sunie para za parą w rozkosznej ślizgawce. Wśród zabawy nie pomną o metrze i chłodzie, *Holendrując* ochoczo na szklistej sadzawce. Lecz powoli słońeczko wychyliło skronie I złotym swym promieniem musnęło po stawie, Ogrzało tchnieniem ciepłym zamarznięte tonie, Przeszkadzając młodzieży w wesołej zabawie. „Ach, nieznośne to słońce! taką psotę czyni”. Ozwą się gniewne głosy i z zmarszczką na czole Jaś podał rękę Koci a Kazio Maryni, Spuściwszy nos na kwintę, wracali ku szkole, Wtem pod bramą ogrodu ujrzeli dziecinę, Co zziębnięte swe dłonie wznosiła do słońca, Błagając: „O, słońce, daj nam ciepła chociaż odrobinę „Bo czyż zimy wśród nędzy doczekam się końca”! A młodzież, co przed chwilą słońcu złorzeczyła Otoczyła z współczuciem zziębłe biedne dziecię, Żalując słów niewczesnych. W oczach ich łza lśniła I wszyscy zawołali: „Cóż nędzy na świecie! „I jakże nierozważne były nasze dąsy! „Bo to słońce, które nam wyrządziło psotę, „Przerywając zabawę i wesołe płasy, „Ogrzało swoim ciepłem tę biedną sierotę”. I każdy wydobywał z kieszeni grosiwo, I w zziębłą dłoń dzieciny rzucał pieniądz mały, Wołając: „Idź maleńka, ogrzej się co żywo”! A serca przy tym datku radością im drżały.

Z. Morawska.

GRA NA SKRZYPCACH.

(Z prawdziwego wydarzenia)

opowiedział PEGAZ SKRZYDLATY.

— Nie, ja się już chyba nigdy nie wyuczę tej przebrzydłej etiudy — zawołał Adaś, rzucając niemal swe skrzypce na fortepian — i znów jutro na lekcji profesor będzie mnie łajał, że nie umiem tego i owego! Czy na tę naukę nie szkoda prawdziwie czasu i atlasu?

— Bynajmniej — rzekła matka — mówią że masz po temu zdolności, powinienes się starać, aby przejść szkołę skrzypiec, zanim pójdziesz do szkół, bo wtedy nie będziesz się mógł tak zajmować muzyką.

— Skoro mam chodzić do szkół pocóż się grać uczyć? Wszak nie jesteśmy biedni, abym grą miał na chleb zarabiać?

— Im bogatszym jest człowiek, tembardziej powinien umieć korzystać z darów losu, które mu pozwalają kształcić się wyżej w różnych kierunkach. Nie wiemy zresztą co nam kiedyś przydać się może. Jutrzejsza

lekcyja jest już ostatnią przed świętami, więc przez dwa tygodnie wakacyi wyuczysz się chyba tej etiudy, która ci tak trudno idzie.

— Postaram się, mateczko — odrzekł Adaś, już przekonany o prawdzie słów matki, zabierając swe książki do przygotowania lekcyi z korepetytorem.

Nazajutrz ostatnia lekcyja muzyki poszła już lepiej, a obietnica stanowczej poprawy uradowała profesora. Lekcyja z korepetytorem poszła też dobrze i ten uczynił nawet mamie nadzieję, że na przyszłą jesień Adaś złoży egzamin do trzeciej klasy.

Rodzice Adasia mieli majątek ziemski w okolicach gór Świętokrzyskich, dorocznym więc zwyczajem pojechała mama z Adasiem i o 2 lata starszą odcie siostrzyczką jego Malwinką, na święta do domu. Trudno opisać radość powitania z ojcem po tak długim niewidzeniu. Ściskano się, całowano i rozprawiano bez końca. Najwięcej jednak uradował się ojciec, kiedy w Wigilią Bożego Narodzenia o 12 w nocy przy płonącej choince, Adaś na skrzypcach, a Malwinka na fortepianie, zagrali śpiewając:

„W łobie leży,
„Któż pobieży
„Kolędować małemu?”

Ucałowawszy dzieci, wręczył im ojciec podarki gwiazdkowe: Adaś otrzymał „Wieczory czwartkowe M. J. Zaleskiej”, Malwinka zaś „Księżniczkę”, piękną powieść Zofii Urbanowskiej którą miała czytać jak będzie starszą.

W dzień Nowego Roku rodzice Adasia zostali zaproszeni do sąsiedniego obywatela pana O., na którego prośbę Adaś miał wziąć z sobą skrzypce. Ponieważ mróz był tęgi więc mimo sporego śniegu pojechano kareta. Ciągnęły ją dwa dziarskie koniki, w niespełna godzinę przebyto milową blisko przestrzeń. Gości było wiele, bawiono się ochoczo do północy, a dzieci niejedną otrzymały pochwałę za staranną i poprawną grę swoje.

— Zdaje mi się, że powrót dłużej potrwa — rzekł ojciec, wsiadając do karety, jedź więc ostrożnie mój Janie, bo widzę że wiatr przez ten czas dużo nanosił śniegu.

— Dobrze, proszę łaski pana — odrzekł woźnica trzaskając z biczem.

Gdy wśród ożywionej rozmowy mijano wielki las sosnowy, kareta nagle stanęła.

— Cóż się stało — zapytał ojciec, wychylając głowę przez okienko.

— Uwięźliśmy w śniegu i konie nie mogą dalej ruszyć — odrzekł woźnica, zeskakując z kozła.

— Wysiadajmy — rzekł ojciec — może uda nam się co poradzić temu, po chwili jednak próżnych usiłowań przekonano się że niema innej rady, jak zwołać ludzi dla wyciągnięcia karety. Dwór był już niedaleko, za pół godziny więc można było powrócić. Woźnica miał jechać sam na wyprężonym koniu, a że ten był narówny i nie chciał odejść od swego towarzysza, więc aby nie tracić czasu ojciec wsiadł na drugiego i obaj ruszyli kłusem., w karecie zaś pozostała tylko mama z dziećmi.

Dzieciom jakoś nie miło było zostać tak samym wśród nocy blisko lasu, ale nie śmiały okazywać swęj obawy. Adaś zwłaszcza którego uczono, że mężczyzna

niczego się lękać nie powinien, czekały więc tylko niecierpliwie końca całej przygody.

— Zdaje mi się, że ojciec już z ludźmi wraca — rzekła Malwinka, wyglądając po chwili.

— Gdzieżby tak prędko — odparła mama — wszak dopiero co odjechali.

— Ale wracają — rzekł Adaś — bo od strony lasu zbliżają się ku nam jakieś ogniki.

— Ogniki — zawołała mama zdziwiona i przerażona zarazem — ależ to muszą być chyba wilki; tak, nie inaczej, widzę, jest ich pięciu!

Dzieci pobladły mocno, zachowały się przecież spokojnie; tymczasem mama zamknęła drzwiczki karety na zasuwki i spuściła stopy zasłaniające szyby. W karecie zrobiło się ciemno zupełnie. Wkrótce potem naraz rozległy się dzikie wycia wilków, które otoczyły karete.

Obiegały ją dokoła a następnie poczuwszy że w tym nieznany im budynku mieszczą się ludzie, na których rzucają się chętnie w chwilach głodu, przypuściły szturm formalny. Drapały dokoła pazurami ściany karety, a w końcu gryźć ją zaczęły tak że słysząc było trzask drzewa ustępującego pod ich ostremi zębami. Mama jak w każdym niebezpieczeństwie czynić zwykła, modliła się pocichu, ale teraz rzekła do dzieci, które się modliły również za jej przykładem:

— Zdaje mi się że zanim ojciec przybędzie z pomocą, możemy być naprawdę w niebezpieczeństwie jeżeli zdołają nadwerężyć drzwiczki... Wiesz co mi przychodzi na myśl Adasiu, słyszałam, że muzyka działa na dzikie zwierzęta, tutaj zwłaszcza może być skuteczną, dla tego że nas jeszcze nie widzą, inaczej ani myśleć o czemś podobnem, bo rzuciłyby się na nas... Zagraj więc na skrzypcach...

Drżącą ze wzruszenia ręką wziął chłopczyk skrzypce i pomimo ciemności zagrał arye z Halki: i oto, jakby za dotknięciem różdżki czarodziejskiej, ucichły wycia i wilki dobijać się przestały. Po Halce poszły inne melodye; przebiegłszy cały swój repertuar muzyczny, biedny Adaś omdlał prawie ze znużenia, lecz za to wilki stały dokoła wśród uroczystej ciszy. Nagle dał się słyszeć tentent kopyt końskich i jednocześnie dwa strzały przeszły powietrze.

— Ojciec, ojciec! — zawołały dzieci radośnie i po chwili znalazły się w jego objęciu.

Ojciec powracał z kilkoma fernalami, widząc zaś z daleka wilków, strzelił parę razy z rewolweru, który zawsze miał przy sobie i dwóch drapieżników zostało zabitych, a reszta powędrowała cwałem do lasu.

Fornale wyciągnęli prędko karete ze śniegu i za kwadrans byli już wszyscy w Służewskim dworze. Teraz dopiero Adaś przypomniał sobie słowa matki zachęcającej go do nauki, która zawsze pożytek przynosi: gdyby nie gra na skrzypcach, której chciał zaniechać, Bóg raczy wiedzieć czy ojciec znalazłby jego, mamę i siostrę przy życiu! Odtąd więc postanowił Adaś korzystać ze wszystkich udzielanych mu nauk, grze na skrzypcach poświęcił się z zapalem i etiuda po świętach poszła mu wybornie.

*Drugie i pierwsze — to skarb gospodarza;
Wszystko dochodu gosposi przysparza.*

Lamigłówka kryształowa.

(od Rosiczki z nad Rowu dla Brzózki z gub. podols.)

Znaczenie wyrazów: 1. Spółgłoska. 2. Ptak domowy. 3. Rzeka we Francji. 4. 5. Minerale. 6. Przymiotnik rodzaju żeńskiego. 7. Samogłoska. Rząd środkowy i środkowe litery w kierunku pionowym i poziomym, utworzą imię bohaterki powieści, w Wieczorach drukowanej.

Skrzynka do listów.

Pani Solickiej w Dubnie. Żądane pismo zaprenumerowane i książki wysłano, z pozostałych kop. 50 dano 20 za przesyłkę pocztową, która nie była rachowana.

Wszystkie młodsze i starsze przyjazne „kochanej pani” osoby są nam równie miłe, a do takich liczymy Kalinkę. Wieczory posyłałamy bez przerwy, ale je nam z poczty zwrócono z powodu nieobecności adresantki. Obecnie wysłamy powtórnie brakujące numera, prosimy tylko, aby je nam wymienić.

Ależ pragnę, i bardzo nawet gorąco, miła **Gospośiu z Białodolnej**, być zawsze „kochaną” dla ciebie i siostrzyczek twoich, równie jak dla wszystkich naszych młodych przyjaciółek. Wieczory według życzenia mamy, posyłać będziemy.

Biedne dzieci dziękują serdecznie za pamięć działwy z Idzikowic i Komeic i modlą się za nią bardzo gorąco.

Niezabudka z nad Chomoru trafnie odgadła szaradę i zagadkę.

W **Trawce stepowej** chętnie witamy nową korespondentkę i **Gołąbka** przesyła jej uściśnienie.

Kameleon niech do listu swego zastosuje to, co pisaliśmy już nieraz o podobnych korespondencyach.

Tak, to aż miło, **Gwiazdo!** Świeć jasno pogodnie równym zawsze blaskiem i jak Gwiazda prawdziwa nie schodź nigdy z wytkniętego ci toru obowiązków, a tęsknice nie będą miały do ciebie przystępu. Serdecznego słowa i życzliwej rady zawsze możesz się od nas spodziewać.

Droga Wesoła Krakowianko nie było sposobu zadość uczynienia twemu żądaniu. Gdy list twój nadszedł, numer już był wydrukowany.

Laureatce i Gwiazdzie Polarniej podziękowania przesyłamy za życzenia. Tak, w istocie, okazywane nam przywiązanie przez tych, dla których pracujemy, uważamy już sobie „za błogosławieństwo Boże” dla naszej pracy. To plon najmiłszy!

W imieniu **Gołąbki pocztowej** dziękujemy **wszystkim** kochanym korespondentkom, które jej przesyłają życzenia i uściski osobne podziękowanie należy się **Barwinkowi** za bukiet z nadbałtyckich rozłogów.

Kochany Kwiatku Granatu! Dla czego dotąd nie pisałaś? napisz radzę ci, ale zmień pseudonym męzki na żeński, bo cię w redakcyi wezmą za chłopca. Co ci się najwięcej w „Wieczorach” podoba? mnie „Szesnastoletni wojewoda.” Czy ci się podoba „Prawdziwe bogactwo”? Czy już czytałaś pismo, które ci posłałam? jest ono bardzo zajmujące. Ucałuj odemnie czarną Kotecką, namów aby pisywała przez „Wieczory”. Ucałuj moją kochaną pannę K. po tysiąc razy. Odpisz prędko; ściskam cię serdecznie, *Czapla z nad Pohanki.*

Kochane moje: **Różyczko biała z Wołynia**, **Niezabudko z nad Chomoru**, **Stokrotko z nad Stochodu**, **Kulko śniegowa i Topolko**

srebrna. Dziękuję wam bardzo za wasze miłutkie listy i przepaszam, że tak długo nie odpisywała. Pytasz, **Różyczko** co porabiam: Uczę się, szyję, uczę młodszą siostrzyczkę, nadto w wyznaczone dni biorę lekcje gotowania od kucharki niezmiernie gderliwej. A czasem zabawię się w sąsiedztwie. Tobie błękitny kwiateczku donoszę, że jestem niska, niezbyt szczupła szatynka, mam czarne oczy i gruby ciekawy nosek. Mam rok 16-ty. **Wincentynko** luba, bardzo mi się podobałaś, nazywam się **Klementyna**, mieszkam w **Lubelskiem**. **Kuleczko** miłuchna, z nauk najlepiej lubię historię i geografję. Donieś mi o sobie. **Topoleczko** miła już wszystko o sobie napisałam, dodam tylko, że cię bardzo polubiła. Całuję was serdecznie i czekam odpowiedzi *Jedlinka.*

Kochana Akacyo różowa, donieś mi jak zajechałyście do domu? Czy **Zosia** się bała w drodze? i czy jest jeszcze panna **Stanisława**? Chciałabym cię znów prędko zobaczyć, droga **Kulko śniegowa**. **Wakacye** smutno mi zeszły, bez towarzystwa, bo mam tylko czteroletnią siostrzyczkę. Napisz mi ile masz lat i jak imię twoje. Ja mam lat 11 i imię **Zosia**. Czytać lubię wszystko co jest w „**Wiecz. Rodz.**”. Całuję was obie serdecznie, a ty **Akacyjo** ucałuj odemnie **Zosię**. Wasza *Śnieżna Jagódka.*

Orliczkę białą i Góralkę ściskam serdecznie i proszę o napisanie do *Śnieżnej Jagódki.*

Droga Topolko z Żytomierza! Dziękuję ci za list, który mi niewymownie ucieszył. Na imię mi **Marylka**, mam lat 13, jestem w 7-jej klasie nazwisko moje zaczyna się od **E.**, mieszkam zaś w **Krakowie**. Jak ci się podobają „**Podziemia barwałdzkiego zamku**”? Bo mnie ogromnie, dla tego, że jest mowa o zbójcach, a ja przepadam za takimi historiami. Posyłam ci szaradę, której redakcyja zapewne nie wydrukuje. Ściskam cię z całej siły *Gama C-dur.*

Kochana Ciociu Figo! Już od dwóch miesięcy jestem w **Petersburgu**, ale nie bardzo lubię to miasto, wolę wieś. Na imię mi **Stefcia**, mam trzynaście lat i chodzę do gimnazjum. Na jakiej ulicy mieszkasz? Ja na **Targowej**. Napisz mi cokolwiek o sobie. Może się znamy i do jednego gimnazjum chodzimy? Odpowiadaj prędko. Twoja *Śpiewna Lira.*

Kochana Litwinko z nad Szczary! Ucieszyłaś mnie bardzo swym listem, gdyż nawzajem czuję do ciebie sympatyę i proszę cię donieś mi, gdzie mieszkasz, jak ci na imię i ile masz lat? Ja mam tylko starszą siostrę **Manię**. „**Wieczory**” czytuję już cztery lata lecz dopiero drugi rok z niemi koresponduję, najwięcej mi się w nich podoba też sama powieść co i tobie, niezmiernie jestem ciekawa jej końca. Ściskam cię serdecznie wraz twoją siostrzyczką **Wandzią**. Chętnie się zgadzam na twą propozycję i dawno już o tem myślałam. Ściskam cię wraz z **Niezabudką** czeską, *Niezapominajka z nad Warty.*

Najmiłsze moje: **Kapłanko Znicza i Niezabudko z nad Chomoru!** Wybaczcie że tak długo zwlekała z odpowiedzią z powodu choroby mojej matczyni. Donoszę wam, że mieszkam w głębi **Polesia** w **Pińskim** pow. niedaleko od sławnych błót tegoż nazwiska, w małym miasteczku, przed 17-stą niteczką życia, jestem jedy-naczką, na imię mi **Wincentyna S.** w skróceniu **Wińcia**. Gdzie mieszkasz miłuchna **Niezabudeczko**? Jak ci na imię? Czekam rychłej odpowiedzi. *Stokrotka z nad Stochodu.*

Kochanym: Ukraince na Mazowszą, Czeskiej Niezabudce, Westalce i Jesieni szlę życzenia świąteczne, *Stokrotka z nad Stochodu.*

Kochana Różyczko Biała z Wołynia! Jakże już dawno nie korespondowałyśmy z sobą od ostatniego widzenia się nie wiem co się z wami dzieje; co porabia **Ł.**? czy nie wybiera się do nas? Od tygodnia wyjechała nasza **Francuzka**, a w tych dniach ma przybyć druga. Czekam listu od ciebie. Serdecznie cię pozdrawiam *Niezapominajka z Polesia.*

Kochana Jasieni! Ściskam cię serdecznie. Droga **Niezabudko**, nie znasz mię, a ja przecież wiem o tobie. Jestem kuzynką **Jaskółki z nad Ussy i Miski**, a zarazem i twego młodszego rodzeństwa; liczę się do sędziwych staruszek. Czy odgadujesz moje nazwisko? Ucałuj odemnie ładne buziaki **Gabryelki, Stasia i Anusi**. *Sarenka z nad Moroczki.*